



Rywalizacja a przyjaźń w nauce

W artykule „Nauka i przyjaźń” („PAUza Akademicka” 435) Profesor Maria Korytowska porusza rzadko podejmowany temat przyjaźni w świecie nauki. Autorka pisze: „Czy nacisk położony na rywalizację, osiągnięcie korzyści materialnych dla uczelni, system grantowy i reguły oceny, nie mówiąc o fałszywej ambicji osobistej wzniesienia się ponad innych, sprzyjają przyjaźni między ludźmi nauki?” Choć formalnie jest to pytanie, odnosi się wrażenie, że ma ono charakter retoryczny, a Autorka uważa, iż negatywne – w jej mniemaniu – cechy współczesnego życia naukowego nie sprzyjają przyjaźni między ludźmi nauki. Na podstawie wieloletnich doświadczeń mam zupełnie inne, bardziej optymistyczne zdanie na ten temat i postaram się je pokrótce uzasadnić.

Zacznę od obiekcji w stosunku do sformułowania „fałszywa ambicja osobista wzniesienia się ponad innych”. Ambicje naukowe są często bardzo autentyczne, a więc prawdziwe. Autorka używa pewnie przymiotnika „fałszywy” w znaczeniu „złe ulokowany”, bądź nawet „moralnie naganny”. Nie zgadzam się z taką kwalifikacją ambicji naukowych. Jeśli nie razi nas sprinter mający ambicję wzniesienia się ponad innych przez zdobycie medalu olimpijskiego (a w tym wypadku to wzniesienie się jest dosłowne: zdobywca złotego medalu staje na podium wyżej od pokonanych rywali), to dlaczego mielibyśmy sarkać na uczoną, mającą ambicję wzniesienia się ponad innych przez rozwiązanie problemu, który okazał się dla jej kolegów za trudny? Taka sportowa motywacja pracy naukowej nie ma, moim zdaniem, w sobie nic złego, pod warunkiem, że współzawodnictwo cechują zasady *fair play*.

Ale wróćmy do podstawowego pytania. Czy ambicje i rywalizacja naukowa przeszkadzają w przyjaźni między naukowcami? Analizę tego problemu trzeba zacząć od przypomnienia ważnego faktu. We współczesnej nauce, a w każdym razie w dziedzinach ścisłych i przyrodniczych, a ostatnio i w naukach społecznych, coraz większą rolę odgrywa praca zespołów naukowych. W informatyce teoretycznej, którą reprezentuję, mniej niż 10% prac ma pojedynczego autora. By oprzeć się na własnych doświadczeniach, w ciągu mojego długiego życia naukowego napisałem prace w sumie z ponad 80 współautorami, zwykle pracując w zespołach 2–4 osobowych. Przez lata z niektórymi z tych współautorów opublikowałem kilkanaście wspólnych prac. W mojej dziedzinie taka sytuacja jest normą. Trzeba podkreślić, że wspólna praca nad rozwiązaniem problemu naukowego to jedna z najbardziej intymnych relacji społecznych, jakie można sobie wyobrazić. Każdy ze współpracowników musi przezwyciężyć naturalny wstyd i obawę przed ośmieszeniem się, kiedy zaproponowany pomysł spotyka się z miażdżącą krytyką kolegów. Ileż razy „wspaniałe rozwiązanie”, które z dumą proponowałem, spotykało się z ripostą kolegi (wypowiedzianą po polsku, po francusku albo po angielsku, bo współpraca najczęściej jest międzynarodowa): „to, co mówisz, to nonsens, bo przecież...” I niestety kolega (niekiedy w wieku mego

syna) miał rację, ponieważ to był nonsens, a żelazna, stosowana przeze mnie, zasada przechodzenia ze współpracownikami na „ty” ułatwiła mu wypowiedzenie tej bezceremonialnej uwagi. Rzadko można lepiej poznać kolegę naukowca niż w czasie wspólnych potyczek z problemem: w tej sytuacji trzeba się obnażyć i podjąć ryzyko, że powie się głupstwo, bez tego ryzyka żadne wspólne rozwiązanie nie powstanie. Dlatego właściwie niemożliwa jest współpraca z kimś, kogo się nie lubi. Wtedy nie można pokonać oporu przed obnażeniem się. W czasie zespołowej pracy panuje równość i każdy stara się dać z siebie jak najwięcej, choć efekt i tak potem będzie wspólny (w mojej dziedzinie jest dobra tradycja umieszczania nazwisk współautorów w kolejności alfabetycznej, więc nie ma sporów o to, kto ile zrobił). Ktoś zapyta czy to sprawiedliwe. Na dłuższą metę tak: choć w trakcie pracy nad danym projektem wszyscy są traktowani równo, to jednak tym mniej aktywnym uczestnikom z biegiem lat proponuje się współpracę coraz rzadziej...

Wspólne porażki, gdy problem „nie puszcza” i (znacznie rzadsze) wspólne triumfy, gdy wreszcie „puści”, stanowią podstawę silnych, rodzących się przyjaźni. Kto nie widział błysku radości w oczach kolegi (w moim przypadku często młodszego o 30 lat), gdy uda się wspólnie uzyskać *dream result*, ten nie zna ważnego aspektu przyjaźni. Ten błysk radości może być czasem związany z ambicją, kiedy (zwłaszcza młodszy) kolega myśli sobie: „ten rezultat otworzy mi drogę do posady na prestiżowym uniwersytecie” albo „ten wynik zapewni mi grant, o który będę się starał w przyszłym roku”, lub nawet, ulegając młodzieńczej *hubris*, „udało nam się rozwiązać problem, nad którym bezskutecznie głowił się mój były promotor”. Cóż jest złego w takiej motywacji?

A rywalizacja? Zespoły naukowe zmieniają skład dynamicznie, w miarę ewolucji zainteresowań ich członków. Pięć lat temu pracowałem z kolegą X i rywalizowaliśmy z koleżanką Y i jej doktorantem Z. Dzisiaj pracuję z młodym niezależnym już uczonym Z i rywalizujemy z jego byłą promotorką Y, która pracuje nad podobnymi problemami. Myśląc o jakimś koleździe szybko zapominam o czasie, kiedy z nim rywalizowałem (i np. kiedy ubiegł mnie w rozwiązaniu jakiegoś problemu), a dobrze pamiętam wloty i upadki w okresach współpracy, i to one budują przyjaźń w ciągu dziesiątków lat znajomości. Te przyjaźnie, zrodzone w bojach naukowych, przenoszą się na niwę prywatną: chodzimy razem na wycieczki po konferencji, dyskutujemy o polityce, bywamy u siebie w domach, pamiętamy wzajemnie imiona dzieci i wnuków. Myślę, że przyjaźń między ludźmi nauki jest możliwa i dość częsta, a rywalizacja i ambicje, indywidualne i wspólne, dodają jej tylko smaku i czynią ją mniej cukierkową, a bardziej ludzką, ludzką w rozumieniu Terencjusza: „Nic, co ludzkie...”, ambicje i walka o granty – również.

ANDRZEJ PELC

Université du Québec en Outaouais, Canada

